

Szczególnego znaczenia nabiera wykorzystanie wszelkich możliwości wzrostu produkcji przemysłowej bez dodatkowych nakładów inwestycyjnych i maksymalne wykorzystanie w tym celu istniejących zdolności produkcyjnych oraz czasu pracy urzędów.

(Z Tez na IV Zjazd Partii)

Jerzy Sokołowski

Cena minuty

Wyobraźcie sobie — oburzał się dyrektor wielkiego zjednoczenia w przemyśle ciężkim — przysłał mi z kombinatu pismo z kategorycznym żądaniem przydzielenia czterech ciężkich samochodów typu „Praga”. Przydział nowego taboru miał być warunkiem bezawaryjnej pracy niektórych wydziałów. Potem, w czasie narady w zjednoczeniu, przedstawiciele tego zakładu „grozili”, że bez dodatkowego taboru nie zapewnią terminowej dostawy surowców. Zamiast samochodów posłałem im... inspektorów z komórki organizacji pracy. I co się okazało! Mieli właśnie o cztery samochody... za dużo. Zła była natomiast organizacja pracy tego taboru. Brak konserwacji i terminowych remontów powodował, że wozy stały całymi tygodniami. Załadunek towaru i surowca odbywał się bez żadnego planu. Marnowano dziesiątki kilometrów na puste kursy itp.

W tym samym zjednoczeniu w czasie opracowania programów rozwojowych innej fabryki, wstawiono do planu inwestycyjnego nowe urządzenie z importu. Pracownicy komórki organizacji pracy zbadali wykorzystanie czasu pracy posiadanych przez zakłady urządzeń i maszyn. Wykryli poważne rezerwy. Stwierdzili, że zbyt wiele czasu mar-

nuje się skutkiem nieterminowego spływu materiałów, przedłużania się terminu remontów pieców i urządzeń. Gdyby do tego jeszcze przeorganizować działalność zaplecza techniczno-surowcowego — nie tylko nie trzeba byłoby kupować za granicą owego drogiego urządzenia, ale przy istniejącym parku maszy-

W toku przedzjazdowej dyskusji

nowym można byłoby znacznie podnieść produkcję. Te dwa przykłady dotyczyły spraw produkcyjnych jednego tylko zjednoczenia i dwóch fabryk. A przecież w samym tylko resorcie przemysłu ciężkiego można je liczyć na setki, jeśli nie na tysiące.

Zamrożone miliardy

W ciągu minionych dziewiętnastu lat łączna suma nakładów inwestycyjnych w całym społeczeństwie przemysłu wyniosła 477 miliardów złotych. Znaczna część tej kwoty zużyta została na zakup maszyn i urządzeń pracujących w fabrykach i kombinatach przemysłu

**OGŁADY
POLEMIKI
POSTULATY**
tygodnia

ODDATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 129

5. IV. 64

Rok IV

ciężkiego. Większość tego sprzętu — to nowoczesne maszyny i urządzenia o wysokich parametrach eksploatacyjnych i dużej wydajności. Niestety, wykorzystanie tego cennego sprzętu odbiega daleko od założonej wydajności techniczno-ekonomicznej.

W niektórych zjednoczeniach przemysłu maszynowego park obrabiarkowy eksploatowany jest zaledwie w 70 procentach, a czas pracy urządzeń wykorzystywany jest w 80 procentach. W przemyśle elektronicznym założono linie automatyczne. Cóż z tego, skoro te najnowocześniejsze, wysoko wydajne urządzenia pracują zaledwie w 55 procentach swojej mocy. Pełne wykorzystanie uniemożliwia zła praca działów pomocniczych, kiepskie rozwiązanie transportu wewnątrzzakładowego, nieterminiczny spływ surowca. Miliardy złotych, zamrożone w sprzecie i maszynach nie rentują w pełni dlatego, że zbyt jeszcze nisko ceni się minuty pracy każdego z tych urządzeń.

Problem kosztów

Podstawowym zadaniem naszego przemysłu jest zapewnienie w roku bieżącym wzrostu produkcji o 7 procent, a w roku przyszłym o około 8 procent. Osiągnięcie tych wskaźników stworzy sprzyjającą bazę do realizacji zadań następnego planu pięcioletniego w latach 1966—1970. Im pełniejsza będzie bieżąca pięcioletka, tym pewniejszy będzie punkt wyjściowy do następnego planu. Mówią o tym m. in. opublikowane niedawno Tezy na IV Zjazd Partii.

W dyskusji, jaka toczyć się będzie nad realizacją zadań zawartych w uchwałach XIV Plenum KC i Tezach przedzjazdowych, sprawa gospodarki istniejącym majątkiem, wykorzystanie wszelkich istniejących rezerw, podniesienie produkcji drogą lepszego wykorzystania mocy produkcyjnych, stanowić będzie niewątpliwie jeden z głównych wciąż aktualnych tematów.

Niech więc na porządku dziennym dyskusji w wydziałach i oddziałach fabrycznych, na zebraniach rad robotniczych, konferencjach samorządu, organizacji i kół naukowo-technicznych — poddana zostanie analizie cena minuty pracy wszystkich mocy produkcyjnych. Im pełniej będą one wykorzystane — tym sprawniej i taniej można będzie wykonać zadania wytyczone na następne lata naszej gospodarki.

Dariusz Piątkowski

Fabryki urodzaju

Korespondencja własna z ZSRR

Trzy dzwonki i górnicza winda rusza w głąb kopalni. Jedzie się długo, chociaż prędkość — 8 metrów na sekundę. Na podszybiu, prawie pół kilometra pod ziemią, ciepło, o wiele przyjemniej niż tam, na górze, gdzie właśnie hula marmocwa śnieżycy.

Dyżurny przy wyjściu z windy wręcza akumulatorowe lampki. Potem okaże się, że będą niepotrzebne. W całej kopalni, we wszystkich chodnikach i sztolniach, pali się światło, na przodkach, przy kombajnach, płoną ogromne reflektory. Ale kopalnia jest kopalnią, każdy kto wyrusza na podziemną wędrówkę musi mieć własną lampkę.

Byłem pierwszym polskim dziennikarzem, który po uruchomieniu soligorskiego kombinatu górniczo-chemicznego zaproszony został do zwiedzenia nie tylko naziemnej części „gospodarstwa”. Nie było to zresztą jakieś szczególne wyróżnienie — po prostu kombinat jest jeszcze bardzo młody, na miesiące liczy się jego historia.

A w ogóle kroniki tego zagłębia pisać zaczęto wiosną 1949 roku. Przez całą Białoruś, od południa na północ, szły wówczas geologiczne brzozy poszukiwaczy podziemnych skarbów. Przyszli też drążyć swe otwory tutaj, na Polesie, 20 parę kilometrów od Słucka. Poszukiwali — ropy naftowej. Na Białorusi nie natrafiono zresztą na jej ślad. Geologowie poszli później dalej, ku Białym, znaleźli ropę na Łotwie, a także koło Kaliningradu, ale to już zupełnie inna historia.

Zamiast nafty — potas

Tutaj, gdzie teraz pracuje soligorska kopalnia, z głębokości 349 metrów 9 lipca 1949 roku operator Alosza Niestierow wyciągnął różowo-srebrzystą grudę. Geologowie natychmiast zorientowali się, że to nie taki zwyczajny kamień, lecz cenna ruda soli potasowej.

Tak się zaczęło. Po kilkunastu dniach znano już wyniki laboratoryjnych badań. Wykazały one, że ruda jest bardzo bogata, że stosunkowo niewielkim nakładem sił i kosztów można z niej otrzymać nawozy potasowe dla rolnictwa.

Geologom postawiono potem pytanie: — ile tej rudy kryje się w białoruskiej ziemi nad Słuczem? Czy opłaca się budować kopalnię, zakłady przetwórcze? Może odnalezione pokłady, to niewielki, lokalny dar przyrody?

Zapomniano, że geologowie przyjechali szukać nafty... W telegramach, rozmowach telefonicznych i

dokumentach pojawiać się zaczęło coraz częściej powiązanie: chemia — rolnictwo.

Po kilku miesiącach znano odpowiedź. Okazało się, że złoża zalegają na ogromnym obszarze 2 tysięcy kilometrów kwadratowych. Geologowie oszacowali, że rudy jest około 12 miliardów ton, że znajduje się na niezbyt wielkiej głębokości, od 300 do 600 metrów pod ziemią.

Za niewiele lat

Wszystkie ówczesne dokumenty mówiły o soli w rejonie wsi Czyżewice. Ale kiedy wiadomo już było, iż na złożu zbudować można nie jedną, lecz wiele kopalni, nie jeden lecz wiele zakładów przetwórczych, pojawiła się inna nazwa: Soligorsk — Soine miasto.

Nie ma tego miasta na wielu jeszcze mapach Związku Radzieckiego. Najpierw były tu tylko brezentowe namioty i drewniane baraki. Dziś prawie 20 tysięcy górników, budowniczych i chemików z rodzinami mieszka w nowoczesnych, wielopiętrowych blokach. Powstają następne osiedla, szkoły, pawilony handlowe. Buduje się fabrykę odzieżową — w kopalniach i kombinatach chemicznych zatrudnia się niewiele kobiet, a i dla mieszkanki Soligorska zapewnić trzeba miejsca pracy. Za niewiele już lat miasto liczyć będzie 100 tysięcy ludności.

Za niewiele lat dzisiejsza pierwsza kopalnia i pierwszy kombinat, zatrudniające ponad 2 i pół tysiąca ludzi, mieć będą następnych „rywali”.

Pierwsza kopalnia rozpoczęła wstępne wydobywanie rudy w kwietniu 1960 roku. Wydobywano tę rudę, aby odtransportować ją do przerobu na Uralu, w istniejących nad Kamą potasowych zakładach. Tutaj zaś, na polach koło Czyżewic, stawiano fabryki, elektrownie, budowano tor kolejowy i drogi, domy mieszkalne i szkoły, laboratoria i kina.

W grudniu ub. r. zakończono pierwszy etap budowy. Kopalnia w tej chwili, to 20 kilometrów podziemnych tuneli i chodników — trzy ośrodki wydobywcze. Aby mogły teraz pracować trzeba było na powierzchni wydobyć ponad 600 tysięcy metrów sześciennych ziem i kamieni, zmontować blisko 11 tysięcy ton stalowych konstrukcji stropów i ścian.

Dzisiejszy kombinat, to kruszarń i oczyszczalnia rudy, zakład flotacji i przemiałownię — cały kompleks obiektów produkcyjnych, w których różowo-srebrzyste kamienie przechodzą drogę do worków z potasowymi nawozami.

Czwarty — dla Polski

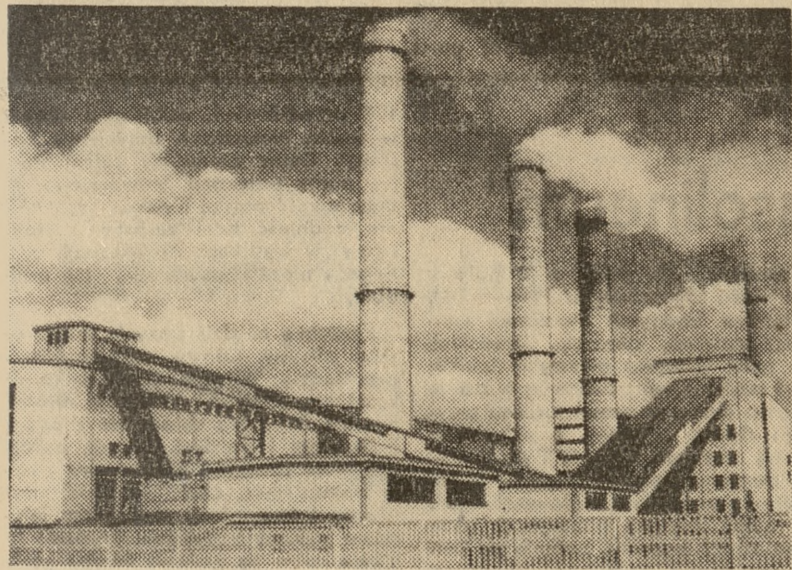
W ubiegłym roku Soligorsk dał rudę na prawie milion ton nawozów. W tym roku dostarczy ponad półtora miliona ton. I już nie trzeba rudy wozić za Ural — gotowe nawozy wyjadą wprost z zakładu.

Za kilka lat Soligorsk dostarczać będzie radzieckiemu rolnictwu 6 i pół miliona ton nawozów rocznie. Już buduje się drugi kombinat — ruszy w końcu bieżącego roku. Jeszcze w tym roku zacznie się także realizację trzeciego — ten dać ma nawozy w 1968. Już przygotowuje się plany czwartego — ruszyć ma w roku 1970.

Ten czwarty dla nas, Polaków, jest szczególnie interesujący. Białoruscy przyjaciele budować go bowiem będą właśnie dla nas. W ubiegłym roku podpisano umowę między Związkiem Radzieckim, a Polską: my dostarczymy, na warunkach kredytowych, m. in. 40 wytwórni kwasu siarkowego, a za to poczynając od 1970 r. otrzymywać będziemy z Soligorska co roku najpierw 600 tys. potem milion ton białoruskich nawozów potasowych dla polskiego rolnictwa.

W miejscu, gdzie stanie ten czwarty — jak go tu nazywają „polski kombinat” — pod śniegiem rośnie jeszcze zboże. W kołchozie obliczają, że zbiorą w tym roku trzykrotnie więcej ziarna, niż kiedykolwiek w przeszłości. Rośnie to zboże już na soligorskich nawozach...

Elektrownia w Koninie



Jedna z wielkich inwestycji XX-lecia w województwie poznańskim.
Fot. — K. Przychodźki

Od czasu pontyfikatu Jana XXIII Kościół katolicki poszukuje dróg swego renesansu. Dyskusje rozpoczęte przed zwołaniem Soboru, a kontynuowane w czasie jego trwania, rozkołysały świat katolicki.

Poza nurtem dążącym do znalezienia nowych sposobów prowadzenia starej polityki, która swoje dobre dni przeżywała w okresie zimnowojennych rządów Piusa XII, do głosu doszły katolickie siły postępowe, pragnące szukać zbliżenia i porozumienia ze światem — bez względu na różnorodność filozofii w nim reprezentowanych. W wielu episkopatach — dotąd tradycyjnie związanych z klasami rządzącymi, z reakcją, a nawet faszyzmem (np. Hiszpania), ujawniły się dążenia do zarzucenia starych sojuszków i poparcia pewnych reform społecznych. Oczywiście u źródeł takich stanowisk znajdują się głównie obawy o utratę wpływów Kościoła, nie umniejsza to jednak obiektywnego znaczenia, jakie mają takie próby zmiany stosunku do problemów społecznych.

Smielsze wypowiedzi w dyskusjach soborowych — toczących się bądź w bazylice św. Piotra, bądź w prasie katolickiej — były jednak za każdym razem przyjmowane z rezerwą, a nawet nieukrywano niechęć pewnych kół kościelnych. Tu również szukać trzeba przyczyn, że rzeczywiste wyniki dwóch sesji soborowych są właściwie nikłe. Jak wiadomo, uchwalono zaledwie dwa schematy — najmniej kontrowersyjne, dotyczące wewnętrznych spraw Kościoła — nie dotykając zasadniczych problemów, przed którymi stoi i wobec których prędzej czy później będzie musiał zająć jasne stanowisko (znacznie dalej niż rezultaty uchwał Soboru szła encyklika Jana XXIII — „Pacem in terris”). Jednakże nawet przyjęcie uchwał np. o liturgii, nie wnoszących żadnych radykalnych zmian, wymagało wielotygodniowych dysput, kontrowersji i wahań.

Włodzimierz Wanat

Czy zahamowanie zmian w liturgii?

Ciekawsze wydają się dalsze losy soborowej uchwały o liturgii. Zgodnie z obowiązującą procedurą uchwała Soboru nie może wejść w życie bez zgody papieża. Jest on władny zawiesić wszystkie uchwały Soboru.

W sprawie liturgii papież nie skorzystał z tego prawa, aczkolwiek jego zarządzenia wykonawcze nawiązują pewne refleksje na temat realizacji wyników wielomiesięcznych debat Soboru. Przyjęty schemat o liturgii przewidywał rozszerzenie władzy episkopatów narodowych przy

Między sesjami Soboru

wprowadzaniu języków krajowych do mszy, sakramentów i obrzędów. Otrzymały one też prawo włączenia lokalnych zwyczajów do liturgii oraz prawo publikowania ksiąg liturgicznych w przekładzie z łaciny na języki i dialekty żywe. Zwróćmy uwagę, że uchwała soborowa nie wprowadza żadnych wyraźnych ustaleń, na energiczne żądania większości uczestników Soboru dawała episkopatowi prawo wprowadzenia języków krajowych do obrzędów kościelnych wychodząc zarazem naprzeciw postulatowi dyskusji o potrzebie pewnej decentralizacji władzy w kościele.

W marcu ogłoszono „Motu proprio”, czyli zarządzenie Pawła VI dotyczące uchwalonych na

Soborze zmian w liturgii. Zarządzenie papieża — nie ujmujące niczego z treści uchwalonego schematu — ogranicza jednak tempo wprowadzenia go w życie. „Motu proprio” głosi, że każdy tekst i każda zmiana w liturgii powinny być zawsze uprzednio zatwierdzone przez Stolicę Apostolską. To jedno zastrzeżenie może postawić pod znakiem zapytania wyniki przyszłych dyskusji o decentralizacji władzy w kościele, episkopatowi przyznaje ono bowiem rolę wnioskodawców, a realizację wniosków uzależnia w istocie od Kurii rzymskiej.

Na tle wspomnianego „Motu proprio” uwidoczniły się już różnice zdań między Watykanem a niektórymi episkopatami. Francuski episkopat np. wprowadza zmiany w liturgii zgodnie z duchem uchwały Soboru — bez porozumienia się z Rzymem.

Krótko mówiąc dyskusje na Soborze pozwoliły jego uczestnikom na sprecyzowanie i konfrontację stanowisk. Wydaje się jednak, że kierownicze koła kościelne pragną jak najszybszego zakończenia tej dyskusji. Ogłoszono wiadomość, że jesienią sesja Soboru, do której przygotowania trwają obecnie, będzie sesją ostatnią i zakończy II Watykański Sobór Powszechny. Ogłoszono również, że wypowiadający się w dyskusji będą mogli przedstawiać tylko stanowisko swego episkopatu, a nie własne, co z pewnością stonuje różnice zdań.

Czy trzecia — ostatnia — sesja Soboru zdąży podjąć jakieś istotne uchwały i czy stworzona zostanie atmosfera umożliwiająca ustosunkowanie się do najważniejszych problemów współczesności? Niewykluczone, że sesja przesłiznie się obok nich. Gdyby tak się stało, to znaczenie Soboru polegałoby jedynie na stworzeniu okazji do dyskusji o miejscu, roli, odpowiedzialności Kościoła we współczesności, o potrzebie ustosunkowania się do niej; dyskusji, której zamknięcie Soboru chyba nie będzie mogło przerwać.

Rzekomy literat i potęga naiwności

Niezbyt trudno zostać hochsztaplerem. Wystarczy mieć trochę tupetu, fantazji i elokwencji. Trochę — bo resztę dokona ludzka łatowierność, żeby nie powiedzieć naiwność. Ona to głównie sprawia, że efekty hochsztaplerskiej działalności bywają oszałamiające.

W latach międzywojennych warszawscy cwaniacy sprzedawali Kolumnę Zygmunta i tramwaje. Kroniki policyjne z tych czasów zanotowały również taki ewenement, jak ściąganie od rolników „podatku” na oliwienie... osi kuli ziemskiej. Po wojnie hochsztaplerskie tradycje są godnie kontynuowane. Oto niedawno na Kielecczyźnie pewien osobnik aplikował sione mandaty tym gospodarzom, na wozach których brak było — znaku „OO” wymaganego rzekomo przez międzynarodowe przepisy o ruchu kołowym. W Poznaniu i w Wielkopolsce także nie brakowało oszustów. Działali np.

prokurator urzędu mieszkaniowego, znachor-cudotwórca, księżniczka angielska studiująca medycynę i zalecająca sprawy mieszkaniowe oraz literat-gawędziarz. Kilka słów o tym ostatnim.

Pseudoliterat od kilku lat jeździł po całej Polsce i uszczęśliwiał ją swoją twórczością artystyczną. W marcu br. zjawił się w jednym z nowotomskich przedsiębiorstw. Tutaj wizyta miała zupełnie inny przebieg niż poprzednie. Nie uprzedzamy jednak faktów.

Nasz bohater przedstawił się jako Witold Iwański literat-gawędziarz, który przyjechał na spotkanie autorskie. Przy okazji nie omieszkał wspomnieć o swej genealogii („matka — literatka, pieśniarka znaną Prosną, ojciec — znany literat-podróżnik”) i pochwalić się znajomością z czołowymi pisarzami Polski i województwa poznańskiego.

Kierownictwo nowotomskiego przedsiębiorstwa przed zawarciem umowy z p. Iwańskim poprosiło o radę miejscowy Wydział Kultury. Ten skontaktował się z Wydziałem Kultury Prezydium WRN. Ostatecznie postanowiono wyjątkowo zezwolić na zorganizowanie wieczoru autorskiego, aby w trakcie tej imprezy przyjrzeć się dokładniej p. Iwańskiemu i rozstrzygnąć dylemat: talent czy oszust?

W oznaczonym dniu mistrz stanął przed dość liczny audytorium i na wstępie zapytał słuchaczy: „Nim rozpocznę wieczór autorski chciałbym się od Państwa dowiedzieć, czy Państwo lubicie na wesoło czy na smutno?... Słyszcie głosy, że na wesoło. Wobec tego mój wieczór będzie miał dwie części — wesołą i smutną. Ale nie będą to części oddzielne, elementy wesołe będą bowiem przeplatały ze smutnymi...”

Elementy wesołe okazały się brodatymi dowcipami, dosyć ciężkimi i strawnymi. Najserdeczniej chyba uśmiechał się sam mistrz.

Elementy smutne były nie tylko smutne, ale i oburzające. Tak trzeba

określić pseudowspominki o znanych poetach, ogłoszone w tonacji „biedny Sylwek zapłó się na śmierć” i lekturę opowiadań grafomańskich lub zalatujących na miłą plagiatem.

Skończył się wieczór autorski. Dla mistrza — też wesoło i smutno. Wesoło — bo zainkasował, zgodnie z umową, honorarium w wysokości 500 zł oraz 200 zł ryczałtu (!?) za dojazd. Smutno, bo został rozszyfrowany i zajęto się nim tak, jak na to zasługiwał. Wyszedł wówczas na jaw rzeczy dziwne i ciekawe. Okazało się, że wykształcenie p. Iwańskiego sprowadza się zaledwie do ukończenia I roku studiów na Akademii Handlowej, a jego związek ze światem literackim jest czymś wymysłem. Trudno bowiem brać poważnie jego zaświadczenie o przynależności do klubu literackiego w Jeleniej Górze, zważywszy że dokument podpisany był przez matkę p. Iwańskiego, a wspomniany klub od dłuższego już czasu nie istnieje. Najciekawsze, że przedkładanie tego dokumentu oraz kilku już zrealizowanych w różnych miejscowościach umów rozpraszało najczęściej wszelkie wątpliwości i w mig przystępowano do spisowywania nowej umowy. Znalezione ich przy mistrzu — bagatela — 112 (a więc tyle wieczorów doszło do skutku) na łączną kwotę około 60 tys. zł. Ten fakt oraz to, że p. Iwański przez kilka lat nie scharbił się żadnym innym zajęciem stanowi drastyczny dowód potęgi naiwności. Oczywiście nie jest ona zjawiskiem powszechnym. Ludzie w Nowym Tomysku okazali się sceptyczni. Podobnie było w ub. roku w powiecie gnieźnieńskim, gdzie podziękowano p. Iwańskiemu za usługi, ponieważ nie potrafił przedstawić wiarygodnych dokumentów (np. legitymacji Związku Literatów Polskich). Jednakże w wielu miejscowościach — np. w Ostrowie — zwyciężyła łatowierność. Trudno o tym pisać „na wesoło”. Działalność wszelkiego rodzaju oszustów zwykle powoduje poważne szkody. Tym razem większe od strat materialnych okazały się moralne (iluż to ludzi opuszczało te „autorskie wieczory” z niesmakiem, uprzedzonych do środowiska literackiego, którego „reprezentant” był wykonawcą tak żałosnego widowiska). I pomyśleć, że uniknięto by tego wszystkiego, gdyby przywiązano wagę do dokumentów, a nie do słów, którymi — jak wiadomo — można rzucać na wiatr. I zbierać obfite plony jeśli brak zdrowego sceptycyzmu.

Teatr Intelaktualne igraszki Mrożka

Teksty dramatyczne Sławomira Mrożka robią zawrotną karierę. Lubią je teatry, lubi je i publiczność. Mrozek stał się już produktem eksportowym nr 1 naszej dramaturgii. Teatr absurdu i paradoksu, transponujący inteligentnie, dowcipnie i z ironią różne stare prawdy, uznawane dotąd za wielkie i poważne, staje się dla współczesnego widza, doskonałą igraszką intelektualną. I to nie tylko igraszką. Mrozek niepokoi, zastanawia, zmusza do myślenia. Podejmuje prze-korne dyskusje z samym Safr'em, Freudem, czy Ionesco, parodiuje Mickiewicza i Wyspiańskiego.

Jest to teatr retoryczny i intelektualny — figury jego bohaterów nie są jakimiś postaciami wziętymi z życia; są raczej tylko typowymi modelami pewnych postaw, uformowanych przez tradycje literackie, które z literatury przeniknęły już moce do życia. Wszystko to jest przewrotne, szydercze i wyobrazione w swojej skali. Mrozek nie jest konsekwentnym i rasowym dramaturgiem, jego skłace sceniczne, nawet te pełnospektaklowe, są w zasadzie jedynie wielką i rozbudowaną anegdotą. Dlatego też właśnie najciekawsze i najbardziej sprawne teatralnie są jego jednoaktówki. Formy, w których droga do poiny do poiny jest skrótowa, w której niepotrzebne są misternie konstrukcje napięć dramatycznych. Jeśli wszystkie frzy prezentowane dziś w Teatrze Nowym — „Kynolog w rozterce”, „Czarowna noc” i „Zabawa” mają jakąś cechę wspólną, to będzie nią przede wszystkim paradytyczny - dyskusyjny stosunek do określonych utworów literackich i chęć sprowadzenia pewnych schematów i stereotypów do absurdu i nonsensu. „Kynolog w rozterce” — to właśnie inteligentna parodia literacka postawy masochizmu i okrucieństwa, w którą tak często stroi się dziś wielka literatura Zachodu. „Czarowna noc” to znowu zgrabne opowiadanko sceniczne o szlachetnych i zakłamanych we-wnętrzu urzędnikach, a przy okazji leciutka parodia z samego Freuda. „Zabawa” to już gorzka, cierpka makabreska. Mały dramat prymitywny gburów, którzy czują, że ktoś ich tam nie chce, że mają być dla kogoś gorsi.

Studium poglądowe jak z frustracji durnia rodzą się potencjalni chuligani. Nie znamy jeszcze uniwersalnego klucza do realizacji Mrożka. Teatr literackich parodi i teatr absurdu najczęściej inscenizowany bywa, jak to się ostatnio mówi, „zgodnie z tekstem”, aluzyjnie i kabaretowo. Taka inscenizacja podkreśla jeszcze bardziej STS-owski rodzaj tego teatru. Można też grać Mrożka w okrutnych w swej brzydocie wnętrzach, realizując i na serio. Wtedy eksploduje w pełni jego humor, a pomiędzy obydwojma stereotypami powstaje stylowa zbieżność. Przyznam się, że ten drugi typ inscenizacji wydaje się ciekawszy i to w dekoracjach, zbliżonych do tych, które pokazał Ildefons Houwal w „Lamen-cie”.

Każda z jednoaktówek dopuszcza w zasadzie zastosowanie odrębnego klucza. W pierwszym historii kynologa klucz ten został dobrany starannie i inteligentnie. Wszystko jest sylowo jednolite, zgrabne i wypointowane. Święty Tadeusz Wojtych znalazł doskonałego partnera w osobie Zbigniewa Szepeha. Nieśmiało, tajemniczo i poetycznie pana X. Demoniczną kobietą — kochanką jest Sława Kwaśniewska, a w roli miłośnika koni doby epizod ma Jerzy Kiszkis. Druga jednoaktówka zaczyna się obiecująco (piękna rola Aleksandry Koncewicz!), potem gdzieś od połowy coś się psuje. Obraz staje się przerysowany, tempo zbyt szybkie. Słowo w teatrze tego typu powinno być jednak najważniejsze, powinno wyprzedzać owo sceniczne „dzianie się”. Wreszcie „Zabawa” — scenografia surowa i prosta. Znowu kolejne wcielenie sceniczne Tadeusza Wojtycha i tym razem zreszła świetnie. Doskonali w swej gburowatości Cezary Kussyk i Jerzy Kiszkis. Ale znowu te same zarzuty. Za szybkie tempo, zbyt słabe wygrzywanie pauz, za mało celebrowania niektórych scen.

Scenografia Zbigniewa Bednarowicza jest lekka, prosta, ale może zbyt malarsko estetyzująca, a zwłaszcza już w dekoracjach pokoju hotelowego.

OLGIERD BŁAŻEWICZ
Teatr Nowy w Poznaniu: „Kynolog w rozterce”, „Czarowna noc”, „Zabawa” jednoaktówki Sławomira Mrożka, w reżyserii Jerzego Hoffmanna i scenografii Zbigniewa Bednarowicza. Premiera 2 kwietnia.

Stuchamy z płyt

W wykonaniu Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyrykcją Jana Krenza — trzy znakomite utwory (na jednej płycie): Richarda Wagnera uvertura do opery „Spiewacy norimbercy”, najświeższy poemat symfoniczny Ferenc Liszta „Preludia” oraz Richarda Straussa poemat symfoniczny „Don Juan” op. 20. Też pozycji przepowiadamy wielkie powodzenie. Polskie Nagrania „Muza”, 33 obr. XL 0150.

„Rytmy i Nastroje”, to zbiór popularnych melodii w wykonaniu orkiestry Adama Wiernika i piosenkarki Katarzyny Boveri. Na jednej płycie — 8 utworów: Exodus, Raz jedyny raz, Sumatra, Rozpamiętywać nie ma co, Ave Maria la novia, Nie powinna wierzyć, Drugi brzeg oraz Wędrowny cyrk. Polskie Nagrania „Pront”, 33 obr. L 0419, 50 zł.

Muzyka Bizeta do opery „Carmen” znana jest nie tylko byłymcom teatrów operowych. Najlepsze i najbardziej popularne melodie z tej opery w wykonaniu cenionych i lubianych polskich śpiewaków prezentują „Polskie Nagrania” na płycie z cyklu „Opera w przekroju”. Gra Orkiestra Filharmonii Narodowej pod dyr. Jerzego Semkowa, śpiewają chór teje Filharmonii oraz soliści: Alina Boleschowska, Barbara Nieman, Krystyna Szczepańska, Irena Slińska, Andrzej Holski, Bogdan Paprocki. Muza XL 172, 33 obroty.

Muzyka rozrywkowa i taneczna — (45 obrótów) gra orkiestra taneczna Polskiego Radia pod dyr. E. Czernego — tańce bounce. Wieczorny spacer i Powroty: Muza SP 85, Z tą samą orkiestrą Violetta Villas śpiewa dla swoich miłośników carioce Szesnaście lat i siedem dni, rumby Zorro i Meksykańska Corrida, sambe Jestem taka a nie inna — Pronit N 264, Irena Santor proponuje posłuchać (można tańczyć) Tu zaczyna się świat i To nie ja. Muza SP 82, Danuta Rinn śpiewa w rytmie twistu Gdy moja babcia w hrydza gra i sambe W piątę stronie świata. Pronit SP 110 (tk)

Stare piosenki angielskie, szkockie i irlandzkie śpiewa nasz znakomity bas Bernard Ładysz: Każdy chłopiec ma dziewczynę, Minstrel, O nie, nie Johnny. Za starą przyjaźń z dawnych lat. Gra zespół instrumentalny Antoniego Wicherka. Polskie Nagrania „Muza” 45 obr. N 0267, 30 zł.

Kubańska piosenkarka Margarita Cantero śpiewa z towarzyszeniem Orkiestry Tanecznej PR pod dyrykcją E. Czernego, El Cumbanchero — samba, Siboney — rumba, Estaba Escrito — chacha, Flamingo-Rock. Polskie Nagrania „Pront” 45 obr. N 0282. Cena 30 zł.



Woła o to w artykule pt. „Komu magistra”? Agnieszka Wróblewska na łamach „Polityki”. Autorka twierdzi, iż planuje się zapotrzebowanie na fachowców bez pełnego rozeznania mechaniki rynku pracy, który ulega stałym zmianom, wynikającym przede wszystkim ze zmian w technice. Dziś przemysł woła o matematyków. O kogo będzie się dobijał za 5 lat? Tymczasem proces kształcenia trwa lata. Nie lekceważymy więc — dodaje autorka — również humanistów we współczesnym świecie ich rola bynajmniej nie maleje.

„Parę lat temu były kłopoty z zatrudnieniem biologów dzisiaj o biologów, a zwłaszcza mikrobiologów dopomina się niecierpliwie wiele galezi przemysłu. Podobnie rzecz ma się z geografami (rolnictwo brak klimatologów), z psychologami i socjologami. Jak już zaznaczyłam, potrzeby rynku przerastają możliwości kształcenia, wszelkie liczbę absolwentów okazują się niewystarczające.”

„W POSZUKIWANIU 6 PROCENT”

Tak zafatyłował „Tygodnik Demokratyczny” artykuł Tadeusza Sapocińskiego, który twierdzi,

Praca to na pewno bardzo specjalistyczna, a przecież przynajmniej jej wyniki końcowe w takiej lub innej formie winny być spopularyzowane, zwłaszcza pośród mieszkańców Poznania. Oto refleksje po lekturze pracy Krystyny Józefowiczówny pt. „Z badań nad architekturą przedromańską i romańską w Poznaniu”, wydanej pod egidą PAN. Praca ta, oparta o wyniki badań wykopaliskowych, przeprowadzonych we wnętrzu katedry poznańskiej, zawiera wnioski dotyczące architektury dwu najstarszych faz budowlanych kościoła, zarazem zaś analizuje materiały z drugiego etapu prac wykopaliskowych w latach 1951—1956. Duża liczba rycin, fotografii i tablic ułatwia percepcję tego dzieła, godnego szerokiej popularyzacji.

Skoro zaś o Poznaniu mowa, należy poinformować czytelników o pracy wydanej przez Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu. Jest to nowe studium Witolda Małsia pt. „Poznańskie prawo karne do końca XVI wieku”, jakby kontynuacja badań opublikowanych w omawianej w swoim czasie na tym miejscu pracy tegoż autora „Sądownictwo miasta Poznania do końca XVI wieku”.

Eugeniusz Paukszta

Nowości „Ossolineum”

Nie tu miejsce na analizę podstaw metodologicznych dzieła dr. Małsia ani na wskazywanie wagi tej pracy dla znajomości źródeł poznańskiego prawa karnego. Natomiast istotnym chyba będzie podkreślenie wagi i użyteczności tej książki dla odbiorcy spoza ścisłego kręgu fachowców. Jest to prawdziwa kopalnia faktów, szczegółów, anegdot z zakresu dawnej obyczajowości, Poznań zaś średniowieczny wyłania się spomiędzy pozornie suchych relacji jako ośrodek żywy i dynamiczny, jako centrum splotu wszelkich problemów, namietności i dążeń.

A teraz znowu wracam do pozycji „Ossolineum”. Oto książka, której lektura raz jeszcze nakazuje przemysleć zaznaczającą się coraz bardziej popularność pamiętników, wyborów korespondencji itp. „Korespondencja J. I. Kraszewskiego i T. Lenartowicza” w opracowaniu Wincentego Danka, to przecież nie tylko wspaniały materiał

poznawczy dla dziejów II połowy XIX wieku (dokładnie lat 1846—1887), zwłaszcza środowisk ówczesnej emigracji polskiej, głównie florenckiej, ale nade wszystko niezwykle wnikliwe i subtelne wprowadzenie w dzieje jedynej chyba w swoim rodzaju przyjaźni dwóch twórców, znajdującego się na szczytach uznania i powodzenia powieściopisarza i skromnego, zapoznanego „liryka mazowieckiego”. W listach dopiero, pisywanych jakże regularnie i szczerze, wyłania się pełna osobowość jednego i drugiego, ukazują się ludzie w pełni żywi, cierpiący i czujący, przez to samo zaś szczególnie nam bliscy.

Piękna edycja jest albumowe wydanie pracy „Słowacki na scenach polskich”, będącej rezultatem zbiorowego wysiłku. Autorzy ukazują tutaj dzieje sceniczne dramatów Słowackiego na przestrzeni 110 lat, a także dają dokumentację ikonograficzną i teatralną dotyczącą

100 przedstawień, publikując szereg w ogóle nieznanych dotychczas ilustracji. Coraz pełniejszy zatem staje się obraz percepcji Słowackiego na umysłowość polską i należy szczególnie podnieść tutaj zasługę „Ossolineum” w wysiłkach do ukazania pełnego, niezafałszowanego tła tego obrazu.

I ostatnia na dziś pozycja wrocławskiej oficyny. Oto w opracowaniu i przekładzie Witolda Chwałewika ukazał się „Hamlet” Williama Shakespeare’a. Wydanie składa się z części angielskiej i polskiej. Część polska obejmuje przekład filologiczny i noty objaśniające, część angielska tekst utworu i komentarz, spełniający właściwe zadanie badawcze. Wydanie to stawia sobie za zadanie (chyba spełnione w maksymalnym wymiarze) dania czytelnikowi unowocześnionego pojęcia o „Hamlecie”, dokładniejszego od tego, jakie uzyskała z przekładów zweryfikowanych. A dawny, poprzedni przekład filologiczny W. Małakowskiego, stał się wszakże już przestarzały.

Z KSIĄŻKA NA TY

I dalej autor dodaje od siebie

„W każdym razie masowy pęd na stanowiska urzędników należy dziś już do przeszłości. To do brzo. Pod warunkiem, że liczba kandydatów wymieni się w jakość, że wykwalifikowani fachowcy, zainteresowani swą pracą i świadomi jej celów, zasilać będą administrację. Pod tym warunkiem (...) Warto się nad tym zastanowić.”

PAMIĘCI GENERALA WALTERA

„Życie Literackie” publikuje reportaż Jana Gerharda pt. „O generale Walterze, pomniku i pamięci”. J. Gerhard pyta: dlaczego pomnik ku czci Świerczewskiego, ustawiony na miejscu jego śmierci pod Jabłonkami jest tak skromny i niki? Autor opisuje okoliczności śmierci generała Świerczewskiego, konkludując, że w irracjonalnej chwili musiał stać, aby widzieć co czynią żołnierze, musiał kierować ich ruchami i musiał być słyszany gdy wydawał rozkazy.

„Czy nie można by stworzyć w rejonie Jabłonek czegoś w rodzaju kamiennego Sanktuarium Wojska Polskiego? Wyobrażam zaś to sobie tak: centralnym punktem byłby pomnik ku czci generała Waltera-Świerczewskiego. Nie miałyby on jednak obecnej formy. Byłby to pomnik przestrzenny. Obok głównej postaci Generała artyści uwidocznili by wielkich górskich głazach dynamikę ruchu walczącego pod Jabłonkami wojska. (...) Puszczam wodze marzeniom. Mamy rok 1964. XX-lecie PRL. Gdyby teraz przyjąć wyżej przedstawioną myśl, kto wie, czy całość nie byłaby gotowa na XXV-lecie?”

LEKTOR

„CHŁOPO-URZĘDNY”

Janusz Głowacki w reportażu pt. „Kariera czyli chłopu-urzędnicy” zamieszczonym w ostatnim wydaniu „Kultury” interesującym pisze o ludziach, którzy przybyli ze wsi i obecnie pracują jako pracownicy umysłowi. Mówi jeden z wyższych urzędników prezydium PRN:

„Urzędnik dziś to już model kariery skończony. Dziś przychodzi tu tylko nieudani, nie skończeni. Dla kariery nie przyjdzie nikt, bo ani pieniądze, ani szacunek — ludzie odczuwają jakieś ogólnie dla nas nieprzychylnie nastawienie. Obecnie zapisuję się na studia zaoczne w stolicy. Stawiam na przemysł. Mają u nas powstawać zakłady. Przeniósłbym się tam.”

NIEPOKÓJ O BIBLIOTEKI

Pisze na ten temat w „Tygodniku Kulturalnym” Stanisław Siekierski. Głównym źródłem jego niepokoju jest niski budżet na uzupełnianie księgozbiorów w bibliotekach.

„W Bolesławcu — czytamy — na uzupełnianie księgozbiorów 10 bibliotek gromadzkich i 2 miejskich przeznaczono w roku 1964 5000 zł; w powiecie Jelenia Góra budżet na ten cel skrócono zupełnie; w powiecie Trzebnica dla 11 placówek gromadzkich i 2 miejskich zapreliminowano 25 500 zł; dla bibliotek powiatu Grodzisk — 3000 zł; dla 17 bibliotek w powiecie Kolno — 15 000 złotych.”